

Czasopismo Społeczności Lokalnej



Wyd. maj 2010, nr 18

Cena: 1,90 zł

Nakład: 500 egz.

ISSN: 1899-8313



fot. Andrzej Woźniak

Czasopismo wydawane przez Stowarzyszenie Promocji i Rozwoju
Pogórza i Gór Izerskich "Zakwisię"

www.zakwisię.pl



KREDYTY, KONTA, LOKATY I INNE PRODUKTY BANKOWE

Placówka Partnerska
ul. Betleja 1, 59-630 Mirsk

ZAPRASZAMY WKRÓTCE

www.bzwbkpartner.pl



Bank Zachodni WBK

Partner

Uczestnicy oferty. Informacje o ofertach i warunkach dostępne w placówkach BZ WBK Partner. Kierownik placówki: nr 070 041 91 53 zgłoszony z tytułu dozwolonego operatora.

AKCESORIA STOLARSKIE I MEBLOWE J. A. CZAJKOWSCY MIRSK ul. GŁOWACKIEGO 17

**ZAPRASZAMY NA ZAKUPY
STOLARZY, RESTAURATORÓW ANTYKÓW
OSOBY INDYWIDUALNIE STYLIZUJĄCE SVOJE DOMY**

W bogatej ofercie polecamy:

- listwy ozdobne drewniane
- elementy toczone: tralki, słupy, kule pilastry, rozety, gałki do nowych i starszych mebli
- bejce, lakiery, oleje, woski i impregnaty
- akcesoria mocujące: śruby, wkręty, cekiny, kleje, silikon
- zamki, zawiasy, wieszaki

Ponadto zapraszamy do Zakładu Stolarskiego w Krzewiu Wlk. po indywidualne zamówienia.

W ofercie: schody, parapety, tralki, poręcze i inne wyroby stolarskie.

tel. **75 7834200**
kom. **607 825 927**

Widmo wiatraków wciąż straszy mieszkańców

Temat budowy elektrowni wiatrowych na terenie Gminy Mirsk był kilkakrotnie poruszany w prasie lokalnej. Jako mieszkaniec Giebułtowa i jako leśnik, któremu zależy na dobrym środowisku, w którym mieszkamy, chciałbym się odnieść do planów budowy wiatraków na gruntach przyległych do mojej miejscowości. Konfrontując swoją wiedzę z opracowaniami na ten temat, dostępnymi m.in. w Internecie, byłem zaskoczony ilością protestów w całym kraju przeciw budowie elektrowni wiatrowych, a to, co tam przeczytałem, było dokładnie przeciwne moim wyobrażeniom na temat wiatraków.

Pojechałem na spotkanie w Lubomierzu 03.02.2010 r., w którym wzięli udział m.in. znawca dziedziny energetyki wiatrowej dr inż. Henryk Wojciechowski z Politechniki Wrocławskiej, prezentujący wady i zalety związane z budową "farm" wiatrowych. Kolejni eksperci to dr Mieczysław Sobik - meteorolog i klimatolog z Uniwersytetu Wrocławskiego, który odniósł się do warunków klimatycznych w Polsce i na Dolnym Śląsku i Jacek Jakubiec z Fundacji Kultury Ekologicznej. Na spotkaniu wypowiedzieli się mieszkańcy Kotliny Kłodzkiej, którzy potrafili przekonać swoje władze do właściwego wyboru między rozwojem turystyki a farmami wiatrowymi, gdyż są one wobec siebie sprzeczne. Tam postawiono na turystykę.

Podobne spotkanie odbyło się 18.03.2009 r. w Mirsku. Był na nim obecny Burmistrz Andrzej Jasiński, Przewodnicząca Rady Miejskiej Danuta Ławnikowska i kilkoro radnych Rady Miejskiej Gminy Mirsk, a także wielu mieszkańców Gminy, zainteresowanych tematem. W wykładzie naukowców była mowa m.in. o wpływie elektrowni wiatrowych na środowisko naturalne i ludzi mieszkających w ich pobliżu, o zagrożeniach, jakie niosą ze sobą elektrownie wiatrowe, m.in. emitowany hałas, niesłyszalne dla ucha ludzkiego infradźwięki, czy efekt migotania spowodowany ruchem śmigieł, a także zagrożenie uderzeniem kawałkami lodu w zimie. Korzyści dla gminy tj. zysk z podatków, jakie mają wpływać do gminnej kasy to zaledwie kilkanaście tysięcy złotych rocznie od jednego wiatraka. Na pewno zyski w żaden sposób nie zrekompensują zniszczonych dróg podczas budowy wiatraków, strat w środowisku przyrodniczym (wiatraki zabijają ptaki i nietoperze), strat w krajobrazie (nie do oszacowania), strat z powodu nieopłacalności inwestowania w turystykę (w pobliżu farm wiatrowych nikt nie chce odpoczywać ani mieszkać), strat wartości nieruchomości i spadku wartości gruntów.

Jakież było moje zdziwienie, gdy głos zabrał Burmistrz Mirska. Po tym wszystkim, co usłyszałem, byłem przekonany, że podobnie, jak na spotkaniu w Lubomierzu,

Burmistrzowie Wlenia i Lubomierza, którzy oświadczyli, że w ich w gminach nie będzie wiatraków, uczyni „nasz” Burmistrz. Tak się jednak nie stało. Burmistrz Mirska miał wątpliwości, podobnie jak Przewodnicząca Rady, która stwierdziła, że prezentacje stały się źródłem cennej dla niej i dla radnych wiedzy i że z pewnością będzie to przyczynkiem do dyskusji na kolejnej sesji.

Na kolejnej sesji nie było dyskusji o wiatrakach, a wniosek radnego Bogusława Nowickiego, aby zobowiązać Burmistrza do podjęcia działań uniemożliwiających budowę wiatraków na terenach Giebułtowa i Grudzy, nie został przez Radę Miejską przyjęty. O tym, jak głosowali radni pisał w Nr 17 czasopisma „Izery” Bogusław Nowicki. W tym miejscu należałoby zapytać radnych, czy pamiętają jeszcze słowa ślubowania, które składali przed przystąpieniem do wykonywania mandatu radnego – „**Ślubuję uroczyście obowiązki radnego sprawować godnie, rzetelnie i uczciwie, mając na względzie dobro mojej gminy i jej mieszkańców**”. Ja mam wątpliwości i chciałem zapytać, czyje dobro mają na względzie radni, którzy głosowali przeciw wnioskowi, wiedząc o protestach przeciw budowie elektrowni wiatrowych w Grudzy i Giebułtowie. Pan Burmistrz ubolewał, że „*spotkanie miało charakter jednostronny i zabrakło w nim miejsca dla ludzi, którzy nie są przeciwni elektrowniom, którzy chcą takie elektrownie budować i którzy widzą korzyści z nich płynące*” („Wieści Mirska”, marzec, nr 169). Na spotkaniu tym miejsca w Sali Miejskiej było wystarczająco dużo. Ci, którzy przyszli na spotkanie jako zwolennicy elektrowni wiatrowych, nie mieli po nim wątpliwości, że wiatraki nie mogą być lokowane w pobliżu zabudowań mieszkalnych i są w wyraźnej sprzeczności z rozwojem turystyki.

Wobec poczyną „naszych” władz gminnych, w Giebułtowie w dniu 09.04.2010 r. odbyło się Zebranie Wiejskie, na którym 111 mieszkańców podjęło uchwałę wyrażającą zdecydowany sprzeciw na lokalizowanie elektrowni wiatrowych na terenie Sołectwa Giebułtów oraz terenach z nim sąsiadujących. Za podjęciem

uchwały głosowało 108 osób, przeciw 1 osoba, 2 osoby wstrzymały się. W zebraniu uczestniczyli również Burmistrz Andrzej Jasiński, przewodnicząca Rady Miejskiej Danuta Ławnikowska, Radni Tadeusz Poznański, Bogusław Nowicki. W odpowiedziach na pytania, jakich udzielił Burmistrz i Przewodnicząca Rady Miejskiej, nie usłyszeliśmy nic nowego. Wynikało z nich, że nic jeszcze nie jest przesądzone w sprawie budowy wiatraków, że decyzji nie ma i nie musi być to decyzja za budową wiatraków. Pan Burmistrz powiedział, że najlepiej byłoby pojechać na tereny, gdzie takie elektrownie działają i dowiedzieć się, jak jest naprawdę. Kogo będzie pytać, mieszkańców, miejscowe władze, czy inwestorów? Czy wycieczka za pieniądze podatników jest potrzebna? To mieszkańców naszej Gminy dotkną konsekwencje ewentualnej budowy, a nie mieszkających gdzieś w kraju. Mieszkańcy Giebułtowa nie są przeciwni elektrowniom wiatrowym w ogóle, ale sprzeciwiamy się budowaniu ich za blisko budynków mieszkalnych, co miałoby miejsce na gruntach w obrębie Giebułtowa i z pewnością odbiłoby się na zdrowiu mieszkańców.

Uchwała Zebrania Wiejskiego Sołectwa Giebułtów została przez sołtysa złożona na ręce Burmistrza i ... cisza. Na ostatnim posiedzeniu 30.04.2001 r. Rada Miejska pominęła ją milczeniem, pomimo wniosku, jaki został złożony o uznanie uchwały jako przeprowadzonych konsultacji społecznych. Wygląda na to, że Burmistrz i Rada na coś czekają, skoro nie zaprzestano działań zgodnie z wnioskiem radnego, o którym pisałem. Ta sytuacja budzi wśród mieszkańców uzasadnione obawy, że nie porzucono pomysłu budowy farmy wiatrowej i sporządzenia pod tym kątem planu zagospodarowania przestrzennego terenu za nasze pieniądze (tj. podatników) i wbrew nam. Władze gminy są nadal głuche na głos kilkuset mieszkańców Giebułtowa, którzy są przeciwni budowie farmy wiatrowej. Nie reagują też na uchwałę zebrania wiejskiego, które w demokratycznym głosowaniu również wyraziło w tej sprawie stanowczy sprzeciw. Wszystko wskazuje na to, że komuś bardzo zależy na tym żeby farma wiatrowa jednak stanęła w Giebułtowie. Jeżeli już inwestycja ruszy według planów władz gminy i na tej podstawie zostanie wydane pozwolenie budowlane na budowę wiatraków, nie już jej nie zatrzyma. Później, mimo że mieszkańcy będą nadal protestować, władze gminne mogą mówić: „to nie my to starostwo wydało zgodę, my mamy ręce czyste, do nas nie możecie mieć pretensji”.

Chciałbym być złym prorokiem...

Problem wiatraków dotyczy nie tylko Giebułtowa. Ich oddziaływanie, jeżeli zostałyby zbudowane, odczują z pewnością mieszkańcy Mirska i Mroczkowie (miały tu również stanąć, a zostały wypchnięte do Giebułtowa).

Inwestorów budujących elektrownie wiatrowe interesują jedynie kolejne miliony, które zarobią dzięki unijnym dotacjom,

reszta jest nieważna. Oni tu nie mieszkają, my ich nie obchodzimy.

Na zachodzie moda na wiatraki mija, bowiem produkowana przez nie energia jest znacznie droższa niż pozyskiwana w tradycyjny sposób. Stare, zdemontowane, ale jeszcze sprawne wiatraki (tak jak wcześniej stare samochody) trafiają między innymi do Polski. Oni pozbędą się tego problemu, nie tracąc miliardów euro (bo wartość wiatraka

jest trochę wyższa od wartości samochodu), odzyskają też w ten sposób dotacje do wiatraków, które wcześniej uchwalili. A my ...? . Oby nie było jak zawsze - mądry Polak po szkodzie.

Apeluję do mieszkańców Gminy Mirsk: nie bądźcie w sprawie budowy farm wiatrowych obojętni!

Antoni Alchimowicz

Moje refleksje z dnia spędzonego w CZERWONYM AUTOBUSIE EDUKACYJNYM

W słoneczne wiosenne dni autobus edukacyjny GINĄ PSZCZOŁY- STOP GMO objeżdżał okoliczne miasteczka i wioski. W środku odbywały się projekcje filmów o zagrożeniach Genetycznie Modyfikowanych Organizmów i wykłady Jadwigi Łopaty i sir Juliana Rose na temat obecnej sytuacji w Polsce. Już osiem krajów Unii Europejskiej wprowadziło zakazy na uprawy GMO(organizmów modyfikowanych genetycznie), w tym Niemcy, Francja, Austria, Włochy, Węgry...,ale nie Polska.

Od razu pojawia się więc pytanie dlaczego Rząd RP naraża swoich wyborców na możliwe szkodliwe skutki upraw GMO i żywności z tymi dodatkami. W autobusie uczestnicy spotkań zadawali pytania i dziwili się dlaczego główne media nic nie mówią o kluczowej dla wszystkich Polaków sprawie. Dotyczy to przecież naszego zdrowia i zdrowia naszych dzieci.

Przedstawiciele KOALICJI POLSKA WOLNA OD GMO podjęli się akcji edukacyjnej zdesperowani znową milczenia polityków. W każdym miejscu, które autobus odwiedzał była przewaga innej publiczności.

W Gryfowie zawitało szacowne grono doświadczonych pszczelarzy, którzy przyszli z pytaniem jak walczyć z GMO, a wyszli zaopatrzeni w filmy edukacyjne i ulotki, od razu się naradzając, gdzie i jak organizować w okolicy spotkania uświadamiające i pisać protesty do rządu przeciw wprowadzeniu GMO w Polsce. Tak uczynili już pszczelarze w innych rejonach kraju.

We Lwówku, poza rolnikami i pszczelarzami, pojawiło się dużo młodzieży. Wypowiedział się też weterynarz, który potwierdził informację, że w Polsce nie ma w sprzedaży paszy bez GMO i że zupełnie uzależniliśmy się od ponadnarodowych korporacji, które w każdej chwili mogą podnieść ceny lub w ogóle nie sprzedawać nie zmodyfikowanej soi. To właśnie soja jest głównym składnikiem GMO w paszach.

W Płuckach Górnych spotkanie zorganizowała pani sołtys, która prowadzi gospodarstwo ekologiczne. Jadwiga Łopata i Sir Julian Rose zachwycali się tam wszystkim! Począwszy od krów i konia na pięknym wzgórzu po kiszane ogórki, swojskie wę-

dliny i jajka . „Dobre, prawdziwe jedzenie“ – jak mówi łamaną polszczyzną Sir Julian, to jest powód dlaczego zajęli się ochroną polskiej wsi. W Płuckach, poza rolnikami i pszczelarzami, pojawiło się dużo dzieci. Prowadzący przemówili tu zupełnie innym tonem. Było dużo śmiechu, Julian opowiadał o sobie - jak z aktora stał się rolnikiem. Wszystkie dzieci na pytanie czy sadziły roślinki podniosły ręce do góry. Sir Julian uświadamiał im jak są szczęśliwe, że mogą same produkować jedzenie i że żyją w pięknym miejscu. Wszyscy na koniec wyrazili chęć bycia farmerami. Dziwne, że to Anglik musi nam przypominać o jakości jedzenia i jak ważnym zawodem jest zawód rolnika.

Każdej grupie prowadzący powtarzali, że to od każdego z nas, a jest nas dużo - zależy czy produkty z GMO pojawią się na półkach sklepów.

Koniec Świata, o którym wszyscy mówią, nie nastąpi nagle w 2012 roku. On już się zaczął. To Koniec Świata dominacji człowieka nad przyrodą i bezkarnego w nią ingerowania.

Ziemia musi się bronić przed człowieczą zachłannością, zatrutowaniem, wycinaniem a wreszcie ingerowaniem w geny !!! Natura musi wybuchać wulkanami i trząść się w posadach, żeby ukrócić działania swojego największego pasożyta- człowieka. Bezmyślnej istoty, która zabija siebie i wszystkie gatunki zwierząt i roślin na tej planecie- w tak cudownej harmonii i pięknie stworzonych !

Dobrze, że są odważni i rozważni ludzie. Ci muszą się jednoczyć, edukować i całym sercem pracować nad zachowaniem resztek dzikiej natury, nad utrzymaniem i rozwojem małych gospodarstw wiejskich,

tworzeniem wspólnot.

Akcja CZERWONY AUTOBUS STOP GMO, którą prowadzi Jadwiga Łopata, laureatka nagrody Goldmana zwanej ekologicznym Noblem i sir Julian Rose , jest wspaniałym przykładem edukacji na najniższym szczeblu - ale najważniejszym - wśród rolników i konsumentów. Objechałam z nimi całą okolicę i powiem Wam, że począwszy od dziecka, a skończywszy na siwiutkim pszczelarzu, nikt nie wyszedł z tego spotkania obojętny.

Jemiołka

Szczegóły dotyczące szkodliwości GMO na stronach - <http://stop-gmo>.

Redaktor naczelny
Bogusław Nowicki

Zespół redakcyjny i współpracownicy

Bartosz Baszak, Marta Bielak, Feliks Chojnacki, Piotr Czembrowski, Grażyna Drożdżowska, Karolina Dulat, ks. Mariusz Godek, Edyta Hryciw, Jacek Krasnopolski, Bartosz Kuświk, Paweł Łupicki, Beata Nowicka, Jolanta Szepańczyk, Paweł Tomczuk, Erik Weijs, Stanisław Wojciechowski, Andrzej Woźniak

Skład i łamanie
Kuba Krasicki

Kontakt
tel. 505 125 654
e-mail: redakcja.izery@gmail.com

Adres redakcji
59-630 Mirsk
ul. Zdrojowa 21/1

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń, zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji materiałów oraz zmiany tytułów.

Holenderscy uczniowie szkoły rolniczej na stażu w Proszowej

AOC z Amelo to rolnicza szkoła z południowej Holandii. Uczniowie tego zielonego kierunku kształcenia już od lat podlegają projektowi odbywania stażu we Francji. Pomyślano więc, że to najwyższy czas na zmiany. Ponieważ chłopcy (przede wszystkim) prawie codziennie spotykają wiele osób z Polski, sprawiło, że nauczyciele doszli do wniosku, że dobrze zrobi im poznanie Polski.

W porozumieniu i współpracy z Trekexped z Antoniowa, nauczyciele mogli odwiedzić nasz region, w rezultacie czego powstały trzy projekty praktyk: w Marczowie, Antoniowie i Proszowej. Trzy grupy uczniów w przeciągu dwóch tygodni zajmowały się między innymi: pilowaniem, podcinaniem gałęzi, montowaniem wytworzonych przez siebie ławek, murowaniem ogrodzenia i urządzaniem ogrodu winogronowego. Wykonali tę pracę bez wynagrodzenia, zadawając się tylko miejscem do spania i wyżywieniem. Narzędzia do pracy przywieźli z sobą z Holandii. Bardzo ciekawą sprawą było to, że podczas tych praktyk, nie był obecny tutaj żaden z nauczycieli. Uczniowie klas drugich (17 lat) pracowali pod bacznym okiem uczniów klas czwartych (20 lat), którzy zajmowali się organizacją i to właśnie oni pełnili funkcję opiekunów. Ogólna liczba to: 30 uczniów i 6 opiekunów. Weekendy i popołudnia środowe były przeznaczane na wycieczki, aby mogli lepiej poznać nasz region.

W Proszowej pracowano u France-

sco Pozwoli i Macieja Kazińskiego, którzy od pewnego czasu przebudowują i remontują stary i piękny dom z myślą, że w niedalekiej przyszłości będzie to agroturystyka. I właśnie tam, na 1 hektarze ziemi, uczniowie ciężko pracowali.

I co sądzą teraz Francesco i Maciej oraz uczniowie AOC Oost o odbytej praktyce?

Francesco i Maciej: „W przeciągu tych dwóch tygodni, kiedy mieliśmy tych chłopców tutaj u nas, wykonali oni bardzo dużo pracy. Pracowali bardzo ciężko, a rezultaty są już widoczne. Nasz teren przeszedł metamorfozę! Nie dziwi więc fakt, że jedli za trzech, ale byliśmy na to przygotowani. Jeśli chodzi o nas, to mogą spokojnie w następnym roku do nas

przyjechać.”

Niek Telman, czwartoklasista, który kierował grupą młodszych kolegów w Proszowej: „Polska jest inna niż sobie wyobrażaliśmy. Bardzo piękna natura i taki wspaniały spokój – to nam bardzo odpowiada. Wszyscy jesteśmy z naszego pobytu

bardzo zadowoleni. Bez przeszkód porozumiewaliśmy się z Francescą i Maciejem po angielsku. Z innymi Polakami było to trochę trudniejsze, bo niewiele osób tutaj włada obcymi językami. Wielu z nas ma w planie tutaj wrócić”.

Jednym słowem obie strony są zadowolone. Z Antoniowa i Marczowa nadeszły takie same informacje. Takie praktyki warto są więc powtarzać.

Jeśli ktoś z czytelników pomyślał teraz, że chętnie w następnym

roku, przyjąłby u siebie grupę stażystów – prosimy o kontakt telefoniczny 609-500035 albo drogą mailową: info@trekexped.com

Erik Weijss

fol. Erik Weijss



Uczniowie z holenderskiej szkoły rolniczej w czasie prac porządkowych w Proszowej.

Otwarcie „Szlaku walońskiego”

Przy słonecznej pogodzie w samo południe 9 maja 2010 r. pod Lipą Sądową w Szklarskiej Porębie Dolnej nastąpiło uroczyste otwarcie „Szlaku walońskiego” – imprezy przygotowanej przez Stowarzyszenie „Zdolna Dolna. „Zdolna Dolna” grupuje mieszkańców i sympatyków Szklarskiej Poręby Dolnej chcących podnieść atrakcyjność tej do niedawna jeszcze zapomnianej części Szklarskiej Poręby.

Niecodziennej ceremonii otwarcia poprzez przecięcie na pniu toporami sznura wisielczego dokonali wspólnie Jerzy Łóżniak, Wicemarszałek Województwa Dolnośląskiego i poseł Marcin Zawila. W uroczystości uczestniczyło ponad 200 osób (!), w tym licznie przybyli mieszkańcy Szklarskiej Poręby Dolnej, przebrani w walońskie stroje członkowie Sudeckiego Bractwa Walońskiego, przewodnicy górscy oraz turyści-miłośnicy Karkonoszy i Gór Izerskich. Uroczystości towarzyszył donośny

odgłos Wielkiego Bębna Sudeckiego Bractwa Walońskiego. Niesiono hasła: „Zdolna Dolna, „Juliusz Naumowicz niech nam króluje 100 lat, „Szklarska Poręba Dolna-walońska tradycja, „Zdolna Dolna górą, „Dolna, ty jesteś jak zdrowie...”

Po „Szlaku Walońskim” nieodpłatnie oprowadzali przebrani w historyczne stroje członkowie Gildii Przewodników Sudeckich im. Willa Ericha Peuckerta, która skupia młodych Przewodników Sudeckich chcących i umiejących o górach opowia-

dać z autentyczną pasją. Zebrani powędrowali trasą nowego „Szlaku Walońskiego” ulicą Piastowską obok miejsca lokalizacji najstarszej huty szkła, malowniczą doliną Kamiennej, przez wodospad Szklarki do Starej Chaty Walońskiej. Tutaj wędrowców powitał Juliusz Naumowicz, Wielki Mistrz Sudeckiego Bractwa Walońskiego, który opowiedział o dawnych poszukiwaczach sudeckich skarbów, minerałów i kamieni szlachetnych. Po krótkim odpoczynku uczestnicy przemarszu poprzez Muzeum Ziemi JUNA, obok Muzeum Włostimila Hofmana, Złoty Widok, Grób Karkonosza i Chybotek przybyli z powrotem do Szklarskiej Poręby Dolnej.

Tutaj w gościnnych progach „Chaty Izerskiej” odbyła się prezentacja książki „Walonowie u Ducha Gór” opowiadającej o podziemnych skarbach Karkonoszy i Gór Izerskich. Piekarze ze Szklarskiej Poręby wypieklili walońskie pieczywo, które po degustacji i pozytywnej ocenie biesiadujących otrzymało stosowne certyfikaty. Na zakończenie odbył się koncert muzyki dawnej w wykonaniu młodych przewodników „gildyjnych”.

Przemysław Wiater

fol. Andrzej Woźniak



Wielki Bęben Sudecki i gajkowie.

O kościółku w Rębiszowie, czyli o niepotrzebnym konflikcie...

Od czerwca ubiegłego roku w Rębiszowie rozgrywa się dziwna gra, polegająca na udowadnianiu „kto jest ważniejszy i kto tu rządzi”, gra jest o tyle bezsensowna, bo wydaje mi się, że dotąd, czyli do momentu objęcia parafii przez nowego proboszcza, każdy znał i akceptował „swoje miejsce w szeregu.” Wszystko funkcjonowało (tzn. parafia) jak należy, parafianie byli szczęśliwi, (choć dopiero teraz to zrozumieli) i władze kościelne były zadowolone, o czym mogliśmy przekonać się podczas wizytacji ks. Biskupa Stefana Cichego w październiku 2008r

Problemy się piętrzą, nie będę ich wszystkich opisywała, zajmę się ostatnim, ale chyba najważniejszym, bo dotyczącym wszystkich parafian nawet tych stojących po drugiej stronie barykady „czyli tych lepszych i godnych uwagi naszego proboszcza.” Problem związany jest z remontem kościoła pomocniczego znajdującego się na cmentarzu, czyli potocznie nazywanego kościółkiem (w dalszej części będę używała tego określenia). Odwodnienie, uzupełnienie pęknięć na ścianach, czy wymiana poszycia dachu były marzeniem i celem śp. ks. Tadeusza Gadzały i parafian. Dotychczas wykonywane były tylko drobne prace remontowe w miarę posiadanych środków finansowych. W momencie, gdy pojawiła się możliwość pozyskania dotacji z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Urzędu Marszałkowskiego na remonty kościołów śp. ks. Tadeusz Gadzała wraz z parafianami, rozpoczął starania o pozyskanie tych pieniędzy na remont kościółka. Zrobiony został projekt remontu tego obiektu, który kosztował parafię 10 000 zł, uzyskaliśmy wszelkie pozwolenia budowlane jak również pozytywne opinie dotyczące remontu zarówno od Konserwatora Zabytków, jak i z Kurii Legnickiej. Złożyliśmy dwa kompletne wnioski, jednak nie otrzymaliśmy tych dotacji. Wszystko to działo się na przełomie 2008/2009 r., niedługo potem zmarł nasz proboszcz i sprawę utknęły w miejscu.

W styczniu tego roku pojawiło się światło w tunelu, czyli dodatkowy nabór

wniosek na dotację z Funduszu Odnowy Wsi (przypomnę tylko, że właśnie z takiej dotacji skorzystała parafia Grudza). Pełni nadziei udaliśmy się do nowego księdza proboszcza, przekonani, że skoro mamy przygotowaną całą dokumentację to nasza parafia będzie mogła jako pierwsza złożyć ten wniosek.

Nasza radość nie trwała jednak długo, okazało się, że dokumenty zginęły z kancelarii parafialnej, chcieliśmy je odtworzyć, jednak ksiądz poinformował nas, że on nie będzie remontował kościółka, ponieważ dla niego priorytetem jest remont głównego kościoła parafialnego, powołując się przy tym na decyzję konserwatora zabytków i ks. Kanclerza Kurii Legnickiej. W tym miejscu rodzi się pytanie, dlaczego w tak krótkim czasie zmieniły się priorytety, jeszcze rok temu remont kościółka był potrzebny i ważny. Wcześniej również rozważana była potrzeba remontu głównego kościoła, jednak jego stan techniczny uznany został za zadowalający, a dla nas parafian remont kościółka od dawna jest priorytetem, ten obiekt jest nam bardzo potrzebny, od dawna służył nam jako kaplica cmentarna. Celowo użyłam słowa służył, ponieważ nowy proboszcz zabronił składania ciał zmarłych parafian w kościółku, tłumacząc to rzekomym

(niepotwierdzonym żadną oficjalną decyzją) zakazem inspektora sanitarnego, czy też złym stanem technicznym obiektu (To dlaczego go nie remontujemy ???). Obecnie ciała naszych bliskich zmarłych

są przechowywane w innych okolicznych kaplicach lub przywożone do kościoła bezpośrednio przed mszą pogrzebową.

Wiemy doskonale, że parafią zarządza proboszcz, ksiądz często nam to przypomina w swoich wypowiedziach, ale parafia to przede wszystkim określona wspólnota wiernych, wiernych, czyli nas ludzi należących do tej wspólnoty. Dlaczego powtarza się nam i udowadnia na każdym kroku, że my jesteśmy nikim, że my nic nie możemy zrobić i że nasze potrzeby nikogo nie interesują? Dlaczego od początku swojego pobytu w Rębiszowie, odczucia większości parafian są takie, że ksiądz nie jest z nami, tylko przeciwko nam i wszystkie nasze inicjatywy są przez księdza negowane? Dlaczego ksiądz z nami nie rozmawia, tylko przekazuje nam swoje decyzje w czasie ogłoszeń parafialnych? Kościół nie jest miejscem do dyskusji, więc my musimy ograniczyć się do ich biernego wysłuchania. Pragniemy podzielić się z księdzem naszymi bolączkami i problemami. Chcielibyśmy zapytać m. in. o to, czy nie warto uszanować pamięci śp. ks. Tadeusza Gadzały, kontynuując dzieło, które on rozpoczął i czy nie szkoda tych 10 000 zł, które już zostały wydane przez parafię na przygotowanie projektu, czy nie szkoda zmarnować szansy, aby przy pomocy funduszy unijnych zrobić coś pożytecznego dla parafii? Dokumentacji na remont kościoła parafialnego nie mamy, nie mamy też pieniędzy ani czasu, aby ją sporządzić w wymaganym terminie. A tak niewiele trzeba było, wystarczyłaby odrobina dobrej woli ze strony księdza proboszcza i być może, wszystko będzie do naprawienia. Jeśli jej zabraknie to okaże się, że parafia Rębiszów z niezrozumiałych powodów nie skorzysta z tych funduszy, a my wszyscy poczyjemy się ofiarami tego niepotrzebnego, budzącego tak wiele emocji, konfliktu.

Edyta Hryciw

Lwóweckie spotkania regionalistów

W dniach 20 lutego i 27 marca br. w Bibliotece Pedagogicznej w Lwówku Śląskim w ramach Lwóweckich Spotkań z Historią odbyły się spotkania Dyskusyjnego Klubu Regionalistów, zorganizowane przez Powiatowe Centrum Edukacji i Bibliotekę Pedagogiczną.

Oba spotkania poprzedziły przemówienia p. Haliny Braun, dyrektora Powiatowego Centrum Edukacji i Biblioteki Pedagogicznej w Lwówku Śl. Dyskusyjny Klub Regionalistów to kolejna propozycja przygotowana dla miłośników ziemi lwóweckiej. Od 2007 roku na terenie naszego powiatu odbywają się konferencje popularnonaukowe z cyklu

„Spotkania z Historią” adresowane do społeczności lokalnych.

– *Ideą Dyskusyjnego Klubu Regionalistów jest stworzenie platformy komunikacyjnej dla ludzi, którym nasze dziedzictwo kulturowe, nasza mała ojczyzna i jej bogactwo nie jest obce. Chcemy pomóc w integracji ludzi mocno związanych z naszym regionem, aby zaistniała możliwość*

wymiany informacji, aby zrodziła się możliwość współpracy, abyśmy wspólnie tworzyli każde spotkanie, na którym będziemy mogli prezentować wyniki naszej pracy badawczej dotyczącej regionu, jego bogatej historii oraz atrakcji turystycznych i przyrodniczych – wyjaśnia p. Maciej Szczerepa, pomysłodawca i jeden z organizatorów spotkania.

20 lutego zaprezentowano dwa wykłady połączone z prezentacjami multimedialnymi, które wygłosili p. Tomasz Szota, nauczyciel ZSOiZ w Lwówku Śl. i p. Krzysztof Marecki, nauczyciel ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Lwówku Śl.



– *Mój wykład dotyczył tematu „Pradzieje ziemi lwóweckiej w świetle znalezisk archeologicznych do 1945 r.” – mówi Tomasz Szota. Autor skupił się na przedwojennych zbiorach zabytków znalezionych w powiecie lwóweckim. Niestety, w wyniku wojny te bezcenne z punktu widzenia wartości naukowej i poznawczej dla przeszłości naszego powiatu zbiory uległy całkowitemu zniszczeniu i rozproszeniu. Na szczęście zachowała się bogata dokumentacja znalezisk archeologicznych, która znajduje się w Archiwum Państwowym we Wrocławiu oraz w Muzeum Archeologicznym we Wrocławiu.*

– *Mój wykład przedstawiał zabytki znalezione przed II wojną światową w powiecie lwóweckim i udokumentowane w niemieckich archiwach archeologicznych. Aby dowiedzieć się, jakie społeczności i ludzie zamieszkiwali wówczas nasze tereny, sięgnąć musimy do źródeł innych niż pisane, czyli zabytków przedhistorycznych. Mają one największą wartość poznawczą i naukową dla przeszłości naszej ziemi lwóweckiej, dla której są jedynymi dokumentami, jedynym źródłem naszej wiedzy o tych pierwszych mieszkańcach naszego obszaru. Te najstarsze przedstawione przeze mnie ludzkie pamiątki udowadniają jasno, że ziemia lwówecka była zamieszkała przez grupy - społeczności pierwszych Europejczyków już przed tysiącami lat. Praca ta daje mi również możliwość na lekcjach historii, wiedzy o społeczeństwie, edukacji regionalnej, przekazywania wiedzy o dziedzictwie kul-*

turowym naszej małej ojczyzny – dodaje lwówecki nauczyciel.

Bardziej współczesnej tematyce poświęcił się p. Krzysztof Marecki, który skupił się na „Nadobrzezańskich atrakcjach turystycznych”. Ze względu na ograniczenia czasowe treść obejmowała krótkie omówienie (niektóre obiekty były tylko wymienione) większości miejsc godnych zainteresowania nie tylko turystów, ale każdego, kto będzie przejeżdżał przez powiat lwówecki, a dokładniej wzdłuż Doliny Bobru, poczynawszy od Jeziora Pilchowickiego przy południowej granicy powiatu, przez okolice Wlenia i kończąc na północ od Lwówka Śl. (Żerkowie, Włodzice Wielkie).

– *Wszystkie obiekty zostały zilustrowane zdjęciami z opisami. Były to atrakcje przyrodnicze np. pomniki przyrody (drzewa, jaskinie) i inne, jak: skały, wyrobiska z minerałami. Oprócz tego rezerwat przyrody na terenie Parku Krajobrazowego Doliny Bobru, miejsca widokowe, niektóre szlaki turystyczne i ścieżki przyrodniczo-dydaktyczne. Omówiłem również zabytki np. zamki, pałace, dwory, kościoły, grodziska, tamę, linię kolejową z tunelami i stacjami – mówi Krzysztof Marecki.*

Natomiast 27 marca br. podczas II spotkania Dyskusyjnego Klubu Regionalistów został przedstawiony wykład z prezentacją multimedialną autorstwa Szymona Wrzesińskiego nauczyciela z Gimnazjum im. Jana Pawła II w Lwówku Śl. i zarazem autora książek popularnonaukowych. Lwówecki regionalista opi-

sał historię oraz pokazał dawny wygląd i obecny stan zachowania siedmiu renesansowych dworów na ziemi lwóweckiej, tj. w dawnych Płakowicach, Maciejowcu, Dębowym Gaju, Bystrzycy, Niwnicach-Bartnikach i Niwnicach-Nowym Łądzie.

– *Sądzę, że możliwość ujrzenia wielu okolicznych zabytków w nieco innej formie pozwoli choć na chwilę zadumać się nad niedocenianym i wciąż niszczonego pięknem naszych okolic. Większość dworów i pałaców została przecież rozgrabiona i celowo zniszczona po ostatniej wojnie przez naszych rodaków – mówi Szymon Wrzesiński. Nader cennym okazało się zaprezentowanie dwóch nieznanych dotąd szlacheckich rezydencji, które autorowi udało się odkryć na przełomie 2009 i 2010 r.*

– *Udało mi się potwierdzić istnienie dwóch nieopisywanych dotąd dworów, z których jeden w Nowym Łądzie pełnił przed wojną funkcję urzędu pocztowego, a drugi w Bystrzycy po przebudowie w XVIII wieku został... kościołem. To odkrycie na skalę ogólnopolską, zmieniające zarazem historię nowożytną poszczególnych wsi – dodaje lokalny historyk.*

Ostatnią prezentacją był pokaz kilkuset zdjęć z Madagaskaru, gdzie dotarł lwówecki regionalista p. Robert Zawadzki. Po niej miała miejsce aktywna dyskusja kilkudziesięciu uczestników spotkania.

Laura Rzeźwicka

z Klubu Młodego Dziennikarza w Gimnazjum im. Jana Pawła II w Lwówku Śl.

Kaczanówka (cz.4)

Pani Maria Zając urodziła się 25 listopada 1931 roku w Kaczanówce na Bondzu. Ma jedną młodszą siostrę. Rodzice to Michał i Elżbieta Nogowie. Mama zajmowała się domem i małym gospodarstwem. W każdej zagrodzie uprawiano konopie oraz len. Kobiety zajmowały się obróbką roślin tak, by otrzymać nici do tkania. Tato był bardzo wszechstronnym stolarzem. Robił meble, kładł podłogi, więźby dachowe, naprawiał wozy. Mama wcześniej zmarła i tato wziął sobie drugą żonę.

Pani Maria ukończyła 6 klas szkoły podstawowej. Uczyła się polskiego i ukraińskiego. Dostała od swojej mamy maszynę do szycia, ale nigdy nie nauczyła się szyc na zarobek. Zanim osiągnęła pełnoletniość, umiała już praść, piec chleb, ciastka i bułki, oporządzić zwierzęta w gospodarstwie i pracować w polu. Umiała też sobie uszyć ręcznie proste ubrania: koszule, zapaski, spódnice. W sąsiedztwie mieszkał wuj p. Paweł Gieleta (teść mieszkającej w Giebułtowie pani Marii Gielety). Miał warsztat szewski. U Żydów w sklepie można było kupić gotowe buty, ale

bogaci mieszkańcy Kaczanówki zamawiali obuwie właśnie u niego. Słynał z jakości i rzetelności wykonanych pantofli, trzewików i oficerek. Dzięki temu wystawił sobie piękny dom z blaszanym dachem i drewnianymi podłogami.

Pan Józef Zając urodził się 7 stycznia 1924 roku w małym zamożnej rodzinie, także na Bondzu. Jego rodzice to Ludwik i Elżbieta. Miał o 10 lat starszą siostrę. Tato potrafił robić wszystko. Naprawiał buty, zajmował się stolarką. Największą jego umiejętnością było tkanie na krosnach. Nikt we wsi nie robił tak pracochłonnych

i kolorowych tkanin tak, jak on. Spod jego rąk wychodziły kolorowe narzuty, chodniki, zwykłe płótna na pościel i ubrania. Osnowa była zawsze ze swojej przędzy. Kolorowe nici bawełniane i lniane kupowało się u Żyda Fiszko, który sprowadzał je z Łodzi. Pan Józef już w dzieciństwie przejawiał zainteresowanie muzyką. Mając cztery lata siadywał na skrzyni w kuchni i słysząc muzykę, którą wiatr niósł z plebani (była tam orkiestra dęta) wystukiwał rytm bosymi piętami i dłońmi oraz podśpiewywał sobie dość głośno skoczne marsze. W gospodarstwie sąsiadów pracował Rosjanin, który grał pięknie na białalajce. Tato własnoręcznie wystrugał panu Józefowi taki sam instrument i syn szybko nauczył się grać na nim. Gdy miał 13 lat, ksiądz Załuczowski zakupił nowe instrumenty dla orkiestry dętej i przyjmował nowych uczniów. Pan Józef bardzo rozpacział, gdy go nie przyjęto do zespołu. Był za młody. Zauroczyła go tuba, a tato kupił

mu skrzypce. Nauka była dość oporna. Dopiero dobra różga zdyscyplinowała go do nauki. W szkole nauczyciele z innych klas zapraszali go na lekcje by grał na bałajce lub skrzypcach. Koledzy i koleżanki też często cichaczem organizowali potańcówki na błoniach dla siebie i swojego rodzeństwa. Pan Józef z dwoma kolegami tworzyli mały zespół i za kilka jajek (towar w tym czasie deficytowy) przygrywali do zabawy rówieśnikom. Zapraszano ich także na poprawiny czy chrzciny, bo byli tańsi od dorosłych. Pan Józef ze łzami w oczach wspomina, jak to jego ojciec dumny, że syn ma takie umiejętności kazał mu grać przy gościach, którzy przyjechali po gotowe płótno. Były to dopiero początki jego nauki. Zawstydzony i stremowany zarzępolił donośnie trochę z przekory, a trochę ze wstydu. Tato go bardzo skarcił i wyrzucił w złości skrzypce na strych. Mały muzyk uciekł z domu i wrócił dopiero wieczorem, schował się pod łóżkiem przed gniewem ojca. Na niewiele się to zdało. Tato wyciągnął go i oberwał cztery razy szeroką linijką drewnianą po portkach. Razy te jeszcze teraz szczypią skórę tylko, że wtedy pan Józef miał ochotę utopić się w stawie ze wstydu i złości, teraz błogosławi rękę ojca za to, że przymusił go do grania.

W każdym domu musiała zawsze być: nafta, zapalki, sól, soda oczyszczona, tłuszcz i cukier. Zakupy można było zrobić za gotówkę i za jaja. Dokonane zakupy Żyd Fiszko zapisywał w zeszytach, a zapłatę odbierał w jajkach dwa razy w tygodniu, przechodząc przez wieś z koszem. Zebrane jajka odpisywał od długu poszczególnym rodzinom, pakował je w duże skrzynie otulone sieczką, sianem i wysyłał do miasta. Jedno jajko w zależności od wagi kosztowało od 3 do 4 groszy. Cukier był bardzo drogi, bo trzeba było wydać aż 1,20 zł. Pani Maria wspomina, że chodziła z koszem jajek po machorkę dla taty. Buty z cholewami tzw. oficerki kosztowały 20 zł. Za metr pszenicy można było otrzymać 18-20 zł. Kobieta pracująca w polu we dworze lub na plebani, czy u bogatego gospodarza zarabiała od 80 groszy do 1 złotego.

Do centrum wsi z Bondza było oko-

ło 3 kilometrów. Oboje państwo Zajacowicze miło wspominają księdza Załuckowskiego. Był bogatym proboszczem, miał okazałe i zadbane gospodarstwo, dodatkowo uczył w szkole religii. Skupiał wokół siebie życie kulturalne wsi. To u niego dwa razy w tygodniu można było posłuchać radia i czytanych przez księdza gazet. Przy plebani zbierała się



Fotografia przedstawiająca kościół w Kaczanówce.

młodzież, która uczestniczyła w obrzędach religijnych oraz dbała o wystrój i wygląd kościoła. Pielęgnował obyczaje i zwyczaje ludowe. Oczkiem w głowie proboszcza była kilkunastoosobowa orkiestra dęta. Fundatorem instrumentów i strojów był ksiądz.

Gdy Rosjanie weszli do wsi w 1939 roku, zaczęły się ciężkie czasy. Szabrowali wszystko z bogatszych zagrod i gospodarstw. Właścicielkę dworu wywieziono z dziećmi na Syberię. Wszelkie dobra zniszczono lub rozkradziono. Wywożono ze wsi nauczycieli, leśniczych, wójta, urzędników i bogatszych gospodarzy, na których mówiono „kurkule”. Podwłuczyska graniczyły ze Zbruczem i był tam ogrodzony drutem koczastym obóz dla oficerów polskich. Pan Józef mówi o nich „szarża” wojskowa. Byli to żołnierze uciekający przed Niemcami. Rosjanie obiecali im opiekę. Nie wolno było tam chodzić i ojciec zabronił synowi na takie wycieczki. Nie wie, co się stało z tymi oficerami. Mówiono, że wywieźli ich na Syberię. Potem wkroczyli Niemcy i zaczęły się rządy Ukraińców. Niemcy obsadzali wszystkie ważniejsze stanowiska we wsi Ukraińcami. Dużo młodych poszło do niemieckiej armii. Okazało się jednak, że wypychano ich na pierwsze linie frontu. Dlatego dezertowali i wracali. Nie mogli pokazywać się we wsi. Uciekali do lasu

i tam tworzyli partyzanckie oddziały. Pan Józef ze smutkiem opowiada, że nie wie, dlaczego Ukraińcy byli tak nieludczy dla Polaków, takie ich zachowanie do tej pory jest dla niego bardzo bolesne i niezrozumiałe. W tym czasie wydano zarządzenie dotyczące robotników przymusowych. W rodzinach, gdzie jest co najmniej dwu mężczyzn, jeden musi się zgłosić do pracy w Niemczech. Pan Józef z ojcem zdecydowali, że pojedzie właśnie syn. W dniu wyjazdu z Kaczanówki, wraz z siedemnastoma innymi kolegami, nie czuł strachu przed Niemcami i podróżą. Opowiada, że miał w sobie taką wewnętrzną pewność, że nic mu się nie stanie. Dopiero w Skalacie, gdy załadowano ich do ciężarówki, a koledzy zaśpiewali „Upływa szybko życie”, zatrzepotało z niepokoju

jego serce. Jechali cztery dni. Po drodze ubywało kolegów, których zabierano do pracy. W miejscu, do którego dotarł tylko z jednym z nich, odebrał go starszy pan. Pojechali bryczką do gospodarstwa. Pan Józef w tym czasie miał wiele fachów w rękę. Nauczył się od ojca stolarki, wypłatał koszyki, wykonywał wszystkie prace w obejściu, naprawiał buty, zszywał porwane koszule. Niemiec postawił go przed stertą drewna i kazał rąbać. Po kilku minutach odetchnął z ulgą, widząc, jak sprawnie idzie młodemu chłopakowi robota. Zawołał „gut, gut” i poklepał po plecach pracownika. Pomimo trzech lat przebywania w Niemczech, pan Józef nie nauczył się mówić po niemiecku. Pamięta, że jego gospodarz – bardzo porządny człowiek – miał na imię Karl. Wieś nazywała się Cisesdorff (?), gmina Sztokerau, a powiat Koneburg.

Czas wojenny w Kaczanówce był dość spokojny. We wspomnieniach pani Marii z tego okresu nie ma przykrych zdarzeń. Ojciec nie pozwalał za bardzo oddalać się dziewczynom z domu. Raz tylko kazał się schować wszystkim w ziemiance z dość wąskim otworem wejściowym. Nic z tego nie wyszło, bo mama była w ciąży i nie mogła się przecisnąć do wnętrza, z jakiego było to powodu nie bardzo pani Maria pamięta.

Wspomnienia Państwa Marii i Józefa Zajacowiczy spisała: Jola Szczepańczyk



Sieroty Sybiru - cz.2

Podjechały pod dom sanie ciągnięte przez dwa konie. Sanie były zbyt małe, żeby zabrać nas i trochę koniecznego dobytku w podróż. Młodszym dzieciom (była ich trójka): Staszce, Krysi i Jasiowi, pozwolono jechać saniami. Na polu był ostry mróz, a my szliśmy w czwórkę z mamą obok sań. Najstarszy Władysław, ja, oraz siostra Józia i Gienia dosłownie po pas w śniegu. Plakaliśmy wszyscy, najbardziej mama, ocieraliśmy lzy, które zamarzały nam na policzkach.

Tak dowiekliśmy się do stacji kolejowej Rożyszcze odległej o 7 kilometrów od naszej wioski. Była to dla nas dzieci najtrudniejsza jak dotąd droga w naszym życiu. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, co nas czeka, byliśmy przecież małymi dziećmi. Mama pocieszała nas, a sama bardzo płakała. Na stacji stały podstawione wagony przeznaczone dla bydła, do jednego z nich wstawiono nas i jeszcze trzy rodziny. Wagony przygotowane wcześniej, bo zrobione były półki u góry. Przykryty szmatą otwór na środku podłogi stanowił ustęp, wiatr dmuchał do środka wagonu, szczególnie kiedy ktoś potrzebował załatwić potrzeby fizjologiczne, obok stał piecyk żelazny, a przy nim kupka węgla i drzewa. Każdej rodzinie przydzielono oddzielny kąt wagonu. Gdy wszystkie cztery rodziny zajęły przydzielone miejsca w kątach wagonu, wówczas drzwi zaryglowano od zewnątrz, a my czekaliśmy co będzie da-

lej. Dwa małe okienka zamarznięte, przez które trudno cokolwiek zobaczyć, były zakratowane. Pociąg stał cały dzień na stacji, gdzie nas doprowadzono (Rożyszcze). Wreszcie wieczorem odryglowano drzwi i nakazano iść 2 osobom po chleb i 2 osobom po wodę, a prowadził ich żołnierz z karabinem. Wody przydzielono dla każdego po 1 litrze, nawet nie było jej do czego nabrać, chleba, tak czarnego jak koks, dano nam po 40 dekagramów. Kiedy wszystkie cztery osoby powróciły do wagonu, drzwi z powrotem zaryglowano. Woda była, więc przystąpiono do gotowania jakiejś stawy, a że piecyk był mały, więc gotowano na zmianę w ustalonej wspólnie kolejności. Najpierw karmiono dzieci najmłodsze, później starych i słabych, a na końcu dorosłych.

W wagonie było nas 30 osób, dla tak licznych rodzin nakarmienie tylu ludzi stanowiło bardzo wielki problem. Takich

wagonów pociąg liczył 40. Przecież nie mieliśmy dużych naczyń do gotowania - mówiła mama. Dla chorych i małych dzieci takie warunki były tragiczne, ani zjeść, ani umyć się, ani pomyć naczynia. Dzieci tego wszystkiego nie rozumiały, domagały się od rodziców jedzenia i picia. Dla rodziców z kolei mimo wszelkich starań nie było możliwości na zaspokojenie pragnienia i głodu. Staszek domagał się ciągle chleba, którego wciąż brakowało. Otworzono drzwi wagonu, wszedł komandir i dwóch żołnierzy - odczytali listę obecności i wybrali starostę wagonu, który nie miał nic do powiedzenia. W miarę upływu czasu, warunki transportu stawały się tak strasznie uciążliwe, że niektórych starszych ludzi ogarniała niemoc, ciągle tylko płakali - a płacz nie rozwiązywał niczego. Pociąg stał nadal na stacji Rożyszcze, zapadła cisza. Po północy poczuliśmy, że lokomotywę chyba podstawiono, bo wagonami wstrząsnęło, wkrótce pociąg ruszył z miejsca w kierunku wschodnim. Lamentu wszystkich rodzin w wagonie nie da się opisać. Dokąd oni nas wiozą? Co oni z nami zrobią? Za co? Co nas czeka? - oto rozpaczliwe pytania niewinnych ludzi, które się nasuwały na myśl w tamtej chwili.

Wspomnienia Pana Alojzego Indyka spisał
Edmund Maziarz

Śladami mirskich dzwonów - cz. 3

„Los dzwonów – Los ludzi”

Bez względu na to, co sądzimy o sklepach wielkopowierzchniowych i czy są większym dobrem, czy złem, z pewnością większość z nas zaopatruje się w takich centrach handlowych. Dodatkowo otoczone wieloma punktami usługowymi i lokalami gastronomicznymi, stały się celem rodzinnych wypadów (nierzadko niedzielnych) w poszukiwaniu kuszących promocji i specjalnych okazji. Mistrzowie zakupów z gminy Mirsk, za punkt honoru stawiają sobie odwiedzenie Galerii Słowiańskiej w Zgorzelcu i okolicznych gmachów handlowych. My natomiast proponujemy inne, bardziej pasjonujące zajęcie. A mianowicie, zamiast do Galerii Słowiańskiej w Zgorzelcu, radzimy udać się do oddalonego o 8 minut drogi dalej, Muzeum Śląskiego w Górze (dojazd własnym samochodem).

Auta zaopatrzone w nawigację lub też „nawigatora” (pilota) z planem miasta w rękę (może być z Internetu), powinny bezproblemowo trafić pod wskazany adres. Najlepszym dniem na wycieczkę, będzie pierwsza niedziela miesiąca, gdyż wstęp do muzeum jest wtedy wolny, a i za parking też nie zapłacimy, ponieważ w niedzielę nie trzeba posiadać biletu z parkometru. Pojazd zostawiamy na Elzabethstr. pod kasztanami (to tylko sugestia), tam jest strefa automatów do parkowania. Pod kamienicami raczej nie parkujemy, jest to teren postoju aut dla mieszkańców. Dalej udajemy się spacerkiem, ulicą We-

berstr., (to jest ulica prostopadła do miejsca postoju). Po paru minutach docieramy do Dolnego Rynku, a następnie w prawo, pod arkadami, mijamy dyrekcję muzeum i nieco dalej pod adresem, Bruderstr. 8 znajdując się zbliżamy do Muzeum Śląskiego. Wystawa przygotowana jest dla obu narodów, polskiego i niemieckiego, eksponaty posiadają bogate opisy w języku polskim i niemieckim. Zwiedzanie rozpoczynamy od samej góry, od sali nr 1, schodząc stopniowo w dół, bogatsi o wiedzę, zaliczamy kolejne kondygnacje. Radzimy taką kolejność, ponieważ tak chronologicznie zostały poukładane eksponaty. A więc zaczynamy

od historii terytorialnej Śląska, o zawiłych losach ziem informują nas mapy i wykresy. Następnie Śląsk Piastów: replika płyty nagrobnej Henryka Dobrego, kodeks św. Jadwigi Śląskiej, którego kopię możemy przekartkować i wiele innych muzealiów z tego okresu. Dalej, poprzez kolejne lata, w historyczny nastrój wprowadzają nas kolejne eksponaty. Szkło, porcelana, naczynia, obrazy i przedmioty codziennego użytku, to wszystko oddaje urok dawnych lat. Końcowe sale to niechlubny czas II Wojny Światowej, czas żałoby po stracie bliskich, czas biedy, niedoli i ludzkiej krzywdy, w końcu czas wielkich zmian na mapie Europy. Sala poświęcona przesiedleniom, nawiązuje zarówno do wypędzenia Niemców ze Śląska, jak i wypędzenia Polaków z kresów. Mijamy nadzieję, że wspólne dziedzictwo kulturowe, pozwoli zapomnieć o dzielących różnicach i zbliży dawnych i obecnych mieszkańców Śląska. Na obejrzenie wszystkiego potrzebujemy ok. 2 godz., muzeum otwarte jest od godz. 10 do 17, a więc najpóźniej powinniśmy stawić się o godz. 15. Mamy nadzieję, że będzie to gratka nie tylko dla miłośników historii naszego regionu, ale także dla wszystkich

tych, którzy chcą czynnie spędzić czas i przy okazji poszerzyć swoje horyzonty. Dodatkowo do 3 października została otwarta ekspozycja pt. „Srebro ze Śląska”.

W drodze powrotnej namawiamy do zwiedzenia kościoła ewangelickiego św. Trójcy, wystarczy po wyjściu z muzeum iść dalej prosto w kierunku, z którego przyszliśmy (nie wracamy). Już po krótkiej chwili docieramy do Górnego Rynku, gdzie z lewej strony natkniemy się na kościół. Bryła świątyni nie jest powalająca, ale za to po wejściu do środka, mamy odczucie, że cofnęliśmy się w czasie. Wrażenia wizualne, zapach i klimat tego miejsca są bardzo mocne i dostarczają wyjątkowo silnych doznań. Samo zwiedzanie

Domu Modlitwy jest bezpłatne, zapłacimy jedynie za fotografowanie, o ile będziemy chcieli uwiecznić na karcie pamięci np. otwierany ołtarz Maryi Panny. Po zakończeniu zwiedzania uliczką za kościołem docieramy do górnej części Elizabethstr. i gdzieś w dolnej części czeka na nas nasz pojazd. Teraz wystarczy już bezpiecznie wrócić do domu.

W samym Muzeum Śląskim nie znajdziemy okazów, bezpośrednio związanych z Mirskiem, natomiast jest kilka eksponatów z Gryfowa, np. wspaniały puchar cechu rzeźników. Ja wyszukałem też inną ciekawostkę, a mianowicie: tabliczkę natruienną nieślubnego dziecka Krzysztofa Leopolda Schaffgotscha. Jednego z fundatorów dzwonów mirskich, darczyńcę i sponsora, który czynnie przysłużył się w odbudowie miasta po wielkim pożarze. Pamiętajmy, iż w trakcie Wojny Trzydziestoletniej ojciec Krzysztofa Leopolda został ścięty za domniemaną zdradę stanu, a on sam był skierowany do Kolegium Jezuickiego, a następnie na Uniwersytet Katolicki w celu zaszczerpienia w nim wiary katolickiej. Edukacja ta trwała w sumie ok. 7 lat, a niespełna 11 lat później przychodzi na świat nieślubne dziecko Krzysztofa Leopolda. Męski potomek rodu, umiera jednak w pierwszym roku życia. Po trzech latach w 1656r., 28 lutego, Schaffgotsch żeni się z Agnieszką von Racknitz. Ma z nią dziesięcioro dzieci, z czego siedmioro umiera we wczesnym dzieciństwie. Pan

zamku Gryf, Proszówki i podległych mu ziem, dopatruje się w tych nieszczęśliwych wydarzeniach grzechu młodości i niechlubnych czynów ojca. Dwadzieścia lat później każe odnowić tabliczkę natruienną nieślubnego syna, nadając mu takie samo imię Krzysztof Leopold i przywraca pośmiertnie wszelkie tytuły i godności.

Jak już wspomnieliśmy, Krzysztof Leopold wraz z synem, tym razem prawowitym spadkobiercą Janem Antonim, byli jednymi z fundatorów dzwonów mirskich. Dzwon, który obecnie znajduje się w wieży kościoła parafialnego w Mirsku nie jest dokładnie tym samym dzwonem. Ufundowany po wielkim pożarze, był jednym z trzech dzwonów z 1699r. i

był tym średnim dzwonem. To właśnie ten dzwon trafił z powrotem na wieżę kościoła w czasie II Wojny Światowej, na podmianę za niemal dwutonowy (1900kg) przecudny okaz z 1700r. Nie jest dokładnie tym samym dzwonem, ponieważ w 1836r. został oddany do przestrojenia na akord DFAC. Prawdopodobnie dzwon doznał jakiegoś defektu po pożarze w 1767r. lub po prostu uległ uszkodzeniu. Tej trudnej operacji dokonano w odlewni w Jeleniej Górze, a za całość odpowiedzialny był Krystian Ehrenfried. Otóż dźwięk

dzwonu zależy od parametrów dzwonu tj. od stosunku ciężaru do średnicy oraz kompozycji metalu, z jakiego został wykonany. Do stopu miedzi, cyny i cynku dodawano czasami domieszkę metali szlachetnych takich jak srebro i złoto. Tak powstawał brąz lub jego gatunek spiż, z których wykonywano dzwony. Legendy głoszą, że w celu osiągnięcia mistycznego brzmienia, dodawano ludzkiej krwi(!?). Dostrajanie polegało na uzyskaniu czystszej brzmienia,

poprzez doszlifowywanie wnętrza dzwonu, gdyż inskrypcje i ornamenty zniekształcały dźwięk. Nic więc dziwnego, że po takich zabiegach dzwon nieco zmienił swój wygląd. Dzwon o wymiarach 89cm średnicy, wysokości 73cm i wadze 430kg (w zależności od źródeł) jest osobliwym świadectwem historii miasta Mirska. Od góry tuż pod hełmem dzwonu ornament organiczny z motywem winorośli i postaciami ludzkimi, górna krawędź składa się z dwóch pierścieni, między którymi znajduje się napis świadczący o odlaniu dzwonu przez Krystiana Ehrenfrieda Sieferta w Jeleniej Górze dn. 10 VII 1836r. Poniżej ornament z plecionki sznurowej wraz z naczyniami liturgicznymi. Na stronie frontowej płaszcza dzwonu widnieje rozbudowany herb rodowy Schaffgotschów, w skład którego wchodzi połączony herb Schaffgotschów i przodków z linii Piastów, tarczę herbową podtrzymują po bokach gryfy, a górę wieńczą hełmy turniejowe. Pod herbem napis „Od ognia i wody zachowaj nas Panie”. Stojąc na wprost dzwonu, z lewej strony wypisane są daty pożarów w Mirsku od 1558r. do 3 września 1767r., razem 12 dat. Z prawej strony inskrypcja mówiąca o pierwszym odlaniu dzwonu, przed przestrojeniem. Napis głosi, że w odlewni Henryka Ponnera w Legnicy dzwon odlano i przywrócono mieszkańcom miasta dnia 29 grudnia 1699r. Zakończenie płaszcza stanowią dwa pierścienie, pod którymi

na wieńcu dzwonu (dolnej części) znajduje się ornament stylizowanej formy roślinnej.

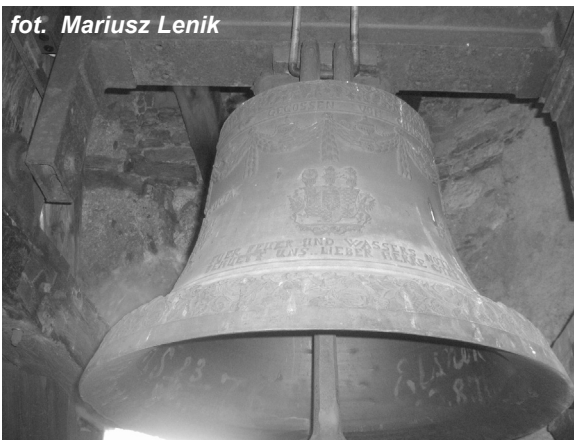
Wieża naszej świątyni pw. Zwiastowania NMP w Mirsku skrywa jeszcze dwa inne, stosunkowo młode dzwony. Pierwszy z

wizerunkiem Serca Pana Jezusa błogosławiącego rodzinom parafii Mirsk oraz drugi z motywem Zwiastowania Pannie Maryi i inskrypcją o ufundowaniu dzwonu przez parafian w roku 2000. Za, powiedzmy, 200 lat z pewnością i te dzwony staną się ciekawym materiałem na publikację. Póki co, mamy nadzieję, będą bronić nasze miast od nieszczęść i roznosić boskie wibracje aż do granic naszej parafii i jeszcze dalej.

Mariusz i Emil Lenik



Replika płyty nagrobnej Henryka Pobożnego.



Mirski dzwon w całej swojej okazałości pokryty bogatym ornamentem.



Stacja kolejowa Kwieciszowice Blumendorf



Blumendorf
Kwieciszowice

Budowa kolei rozpoczęła się w roku 1864. W roku 1866 Kwieciszowice zostały podłączone do trasy Berlin – Zgorzelec – Jelenia Góra – Wrocław. Powstała stacja została nazwana Dolne Kwieciszowice (Niederdorf). W niedługim czasie kolej została zelektryfikowana. Do roku 1938 poczta do Kwieciszowic docierała koleją. Najbardziej znanym kolejarzem we wsi był Richard Schulz. To on obsługiwał w Kwieciszowicach szlaban i zwrotnicę. Schulz, który preferował chodzenie cały dzień w mundurze kolejowym, był inwalidą wojennym (I Wojna Światowa) i posiadał tylko jedną rękę. I właśnie tą jedną ręką podnosił i opuszczał szlaban, oliwił zwrotnicę i robił to nawet podczas srogich mrozów. Bruno Berger często przesiadywał w budynku kolejowym i żeby czas szybko mijał, strugał drewniane klapki, które później sprzedawał.

W czerwcu 1945 roku linia elektryczna napowietrzna i drugi tor, został rozebrany przez białoruskich robotników, którzy byli na przymusowych robotach. Ci 40-50 letni Białorusini, ubrani w kolorowo wyszywane czapki przybyli tutaj z Rosjanami jako wolontariusze. Podczas szybkich zmian politycznych stali się nagle robotnikami, którzy byli przymuszani do pracy.

Dostawali niewiele do jedzenia i niejednokrotnie chodzili w Rębiszowie od domu do domu prosząc o coś do jedzenia... W zamian za poratowanie śpiewali oni piękne, melancholijne pieśni rosyjskie (Burlaki).

W 2007 roku stacja kolejowa w Kwieciszowicach zostaje decyzją PKP wyburzona. Tłumaczono tę decyzję kwestią zagrożenia dla ludzi. Firma, która dokonała tego wyburzenia zaskoczona była wspaniałym stanem drewnianej konstrukcji budowli. Mamy rok 2010 i gruz leży tam do dzisiaj! Jednym słowem – w psuciu i zaśmiecaniu nie mamy sobie równych...

Erik Weijs

W E K T O R FIRMA REMONTOWO-BUDOWLANA MIRSK, UL. SŁOWACKIEGO 34

OFERUJE:

- * kompleksowe remonty budynków
- * pokrycia dachowe, polbruk
- * ocieplenia budynków, elewacje
- * płytki, malowanie, regipsy, gładzie
- * budowa ogrodzeń różnego typu

*Firma nasza
to dobra cena
i dobre
technologie.*



- * pracujemy na dobrych, sprawdzonych materiałach
- * zapewniamy możliwość negocjacji cen

tel. (075) 78 34 726

tel./fax. (075) 78 34 677

www.wektormirsk.pl

Biuro Usług Księgowo-Biurowych

AGA Sp. c. oferuje:

- pełen zakres usług księgowych i podatkowych
- obsługa spółek z o.o.
- obsługa firm KPiR oraz ryczałtu
- biznesplany do kredytów gospodarczych i konsumpcyjnych
- prowadzenie dokumentacji kadrowo-księgowej
- rozliczenia z ZUS
- **rozliczenia roczne**

Kontakt:

601 931 752

693 992 845



Turkus z bliskiem żelaza

Dla obecnych mieszkańców nasze tereny nie kojarzą się z obszarami, na których mogły ważyć się losy wielkich kampanii II wojny światowej. Wręcz przeciwnie - sielsko i spokojnie. Zagłębiając się jednak w mniej znane epizody tamtych czasów (choćby „Tajemnica twierdzy szyfrów”) można odnieść wrażenie, że spokój ten przypominał ciszę w oku cyklonu. Wiąże się z tym tytułowy „Turkus” oraz „Błysk żelaza”, a przenosi nas do pobliskiej Leśnej.

Leśna jest niewielkim miasteczkiem z bogatą historią. Założona mniej więcej w tym samym okresie co Mirsk, przechodziła podobne koleje losów. Szczególną plagą były dla tego miasta powodzie. W 1431 roku w wyniku najazdu husytów miasto zostało spalone (husyci dotarli wtedy również do Mirska), dzieła zagłady dopełniła powódź. Odbudowano po tym miasto nieco wyżej i dalej od rzeki. XIX wiek to rozwój przemysłu włókienniczego, wybudowano też linię kolejową łączącą Leśną z Lubanem Śląskim. Dla nas interesujący będzie jednak okres II wojny światowej, dokładnie jej ostatnie lata.

W 1943 roku na obszarze III Rzeszy rozpoczęto budowę wielu podziemnych obiektów. Przyczyna leży w nalotach aliantów na obiekty przemysłowe, zwłaszcza związane z lotnictwem. Po zniszczeniu zakładów Focke-Wulfa w Malborku H. Goering zlecił ministrowi A. Speerowi wybudowanie sześciu podziemnych zakładów lotniczych. Jeden z nich miał być zlokalizowany w Leśnej. W 1944 roku pokryto siatką maskującą całą dolinę Kwisy w okolicy obecnych zakładów Baworowo (przy wjeździe do Leśnej od strony Złotnik). Ukrywała ona całe zakłady wraz z kominem fabrycznym (w tamtym okresie był niższy), co znakomicie maskowało teren przed obserwacją z powietrza. Pozostałości tego maskowania wisiły nad doliną do lat pięćdziesiątych. Na obrzeżach doliny można spotkać zagłębienia (nie chodzi o Okopy Pandurów), które mogły być stanowiskami dział przeciwlotniczych (takowe znajdowały się także w Mirsku, nieopodal zakładów Inniarskich). Z dostępnej literatury i relacji świadków wynika, że cała produkcja zbrojeniowa naszej okolicy była podporządkowana Luftwaffe. Więcej – praktycznie każdy zakład w większym lub mniejszym stopniu realizował produkcję zbrojeniową. Dla przykładu: w zakładach w Miłoszowie (m.in. dawna „Concordia”) więźniowie i robotnicy przymusowi produ-

kowali precyzyjne części, prawdopodobnie do silników odrzutowych lub broni V-1 (spotykałem się z sugestiami o częściach do V-2, lecz należy pamiętać, że o ile V-1 pozostawały w gestii Luftwaffe, rakiety balistyczne V-2 „użytkowały” wojska lądowe). Dziwna to była fabryka – większość hali zajmowały obrabiarki na potrzeby produkcji zbrojeniowej, lecz na kilku maszynach włókienniczych nadal produkowano tkaninę na chusteczki do nosa... Podobna produkcja była udziałem zakładów w Baworowie (Pätzold und Co. Lauban, oczywiście bez tkanin), przy czym dokonywano tam

montażu i testowania silników. Na terenie zakładów pozostały resztki po hamowni, a relacje więźniów mówią o dziwnych odgłosach towarzyszących próbom (określali je jako „wycie krów”). Po testach silniki miały być pakowane do skrzyń i składowane w podziemiach. Na potrzeby Luftwaffe pracowały również zakłady „Dolwis”. Zakłady Aerobau w Giebułtowie produkowały podobno żyroskopy, choć relacja osoby, która produkty z tej fabryki miała w rękach, wskazują raczej na elementy układów paliwowych. Można też się zastanawiać nad kwestią podziemi na terenie zakładów nr 2 w Giebułtowie. Trzeba pamiętać, że tereny te są miejscem

martyrologii. W rejonie Leśnej znajdowały się dwa obozy: Arbeitslager Hartmannsdorf w Miłoszowie (filia Gross-Rosen, ok. 600 radzieckich jeńców) oraz Gemeinschaftslager Beeberg w Baworowie. W przerażających warunkach pracowali zwłaszcza więźniowie komand wykuwających sztolnie. Relacje więźniów mówią o wyczerpującej pracy oraz szykanach ze strony strażników

i nadzorców (próba drzemki w godzinach pracy kończyła się rozbiciem głowy więźnia za pomocą kilofa). Zakładano 3-miesięczny okres życia więźnia.

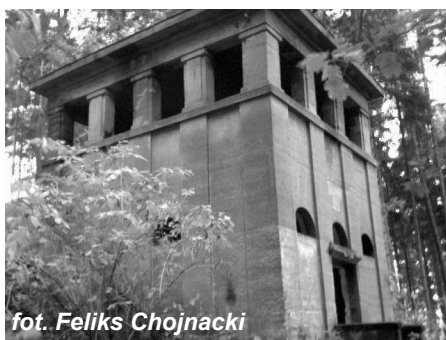
Znane podziemia w okolicy Leśnej obejmują 3 kompleksy: największy, znajdujący się obok zakładów Baworowo, ledwie rozpoczęty obok drogi w kierunku Świecia oraz najmniej znany, przy zakładach w Miłoszowie, obecnie niedostępny. Interesujące jest to, że według relacji świadków w podziemiach odbywała się produkcja. Mogłoby to wskazywać na jeszcze jeden system podziemi, dotąd nieodnaleziony.

Najmniej znana jest sztolnia w Miłoszowie, z tej prostej przyczyny, że wejście do niej jest zawalone. Według opowiadań mieszkańca Miłoszowa wchodził do niej na długość 200 m, dalej się bał. Wzdłuż sztolni biegły tory kolejki wąskotorowej. Według odnalezionych niedawno planów obozu w Miłoszowie, sztolnie nie miały aż takiej długości, planowano je na ok. 140 metrów. Pozostaje tylko domniemywać, czy świadek źle oszacował tę długość, czy też Niemcy skorygowali plany i przedłużyli wyrobisko (plan pochodzi z czerwca 1944 r.). Sztolnia była drożna do 1953 roku, później wejście zostało wysadzone w powietrze przez wojsko.

Najczęściej odwiedzane są sztolnie leżące przy szosie Leśna – Świecie, obok potoku Bruśnik. Przy samej drodze znajduje się dwa wejścia, od strony potoku jeszcze cztery. Dodatkowo przy drodze stoją ruiny budynków, jeden przypominający podstację transformatorów, drugi może wartownię. Na zboczu góry znaleźć można pozostałości stacji kompresorów, a po drugiej stronie potoku pozostałości fundamentów, prawdopodobnie po baraku.

Sztolnie przy drodze są zakratowane, przy ich wlotach widać otwory pod ładunki wybuchowe. Sztolnia znajdująca się przy potoku, pierwsza od drogi, została okratowana przez miłośników nietoperzy. Dość niebezpieczne było jej odwiedzanie,

ponoć po wojnie służyła do detonowania niewypałów, ściany przy wejściu ma nieco spękane. Jest ona najdłuższa spośród tych sześciu, jej odnodze w prawo nie brakuje dużo, by połączyć się z sąsiednią sztolnią. Do odwiedzenia pozostałych sugeruję zaopatrzyć się w kalosze. Sztolnie nie są długie, najszerza jest ostatnia, najdalej od drogi. Wszystkie znajdują się niedaleko po-



fot. Feliks Chojnacki

Budynek przepompowni.



fot. Feliks Chojnacki

Bunkier materiałów wybuchowych.

toku, dostęp ciężkiego sprzętu byłby więc niemożliwy lub przynajmniej utrudniony. Wiadomo, że transport urobku odbywał się w sposób prymitywny, taczkami. Wzdłuż potoku były tory kolejki wąskotorowej. Po narysowaniu planu podziemi widać, że sztolnie miały mieć układ skrzyżowanych korytarzy, przecinających się pod kątem prostym. Przypomina to kompleks Włodarz

w Górach Sowich. Ciekawostką jest znajdujący się niedaleko ostatniej sztolni bunkier (nieco powyżej, ok. 30 metrów dalej), prawdopodobnie składowano w nim materiały wybuchowe, używane podczas drażenia podziemi. Powyżej, blisko szczytu góry, możemy zwiedzić stary zbiornik wody. Nie powstał on przy budowie sztolni, jest już na mapie z 1936 roku. Przyznać trzeba,

że w środku lasu malowniczo wygląda ten budynek, z tarasem. Dwa zbiorniki na wodę jeszcze 2 lata temu były w bardzo dobrym stanie, wewnątrz pokryte smołą.

W części drugiej przedstawię opis podziemi przy zakładzie Baworowo.

Feliks Chojnacki

Dogonić „Błękitne” z Mirska

Starsi mieszkańcy naszej gminy, a zwłaszcza absolwenci „naszego” Ogólniaka, na pewno pamiętają zespół „Błękitnych” Mirsk. Były to piłkarki ręczne, prowadzone przez prof. Wójcika, potrafiące „nieźle namieszać” w szkolnym szczypiorniaku na arenie ogólnopolskiej. Dziś chciałabym przedstawić zespół, który, mam nadzieję, a nawet jestem tego pewna, pójdzie w jego ślady.

W naszej szkole, ZSLG Mirsk, pod patronatem „Pri-Bazalt Włókniarz” Mirsk, dzięki wielkiemu zapalowi Pana prof. Radosława Mularczyka powstała sekcja piłki ręcznej dziewcząt. Trenuje ok. 15 zawodniczek trzy razy w tygodniu w ciężkim pocie i znoju. Wykorzystujemy szkolne boisko i salę gimnastyczną oraz naszego trenera, aby przekazał nam swoje umiejętności. A ma je niemałe; trenujemy od roku czasu, a już mamy pewne sukcesy, na przykład remis z młodziczkami (I i II kl. gimnazjum) jeleniogórskiej Jelfy.

Coraz częściej jesteśmy zapraszane na sparingi z drużynami grającymi w lidze (Lubań Śl., Jelenia Góra), a ostatnio na turniej z okazji otwarcia Hali Sportowej w Karpaczu. Tu odniosłyśmy największy sukces – remis z Jelfą, po zaciętym i wyrównanym meczu. W turnieju brało udział kilka drużyn seniorskich pań, a głównym meczem dnia było spotkanie KPR Jelenia Góra – Gwiazdy Vitaralu, gdzie grały dawne i obecne gwiazdy.

Do naszej drużyny należą m.in. Justna Solipiwo, Klaudia Masiowska, Natalia Wiśniewska, Paulina Dziedzic,

Marta Jastrabowicz, Marta Petrykowska, Natalia Skórka, Katarzyna Nykiel, Kamila Jura., Angelika Wójcik, Kornelia Matuszak, Patrycja Sadocha, Joanna Daskocz, Monika Krasnopolska. Trenerem jest prof. Radosław Mularczyk.

A nasze plany? W przyszłym roku chciałabyśmy grać już w lidze i stworzyć trzy zespoły wiekowe. A najbardziej – marzy nam się hala sportowa z prawdziwego zdarzenia, na której mogłybyśmy grać z najlepszymi.

Chciałybyśmy wszystkie podziękować P. Dyrektorowi ZSLG Mirsk, Pawłowi Śliwińskiemu, za udostępnienie obiektów sportowych na terenie szkoły.

Nasze treningi odbywają się w każdy poniedziałek, środę i piątek od 15.30.

Wszystkich chętnych zapraszamy:)

Monika Krasnopolska

Na działce i w ogrodzie

Maj i czerwiec w ogrodzie to miesiące pełne pracy, wysiłku, aby lato i jesień przyniosły jak najlepsze plony. Sianie, odchwaszczanie, sadzenie – to wszystko wpisuje się w prace tego okresu. W tym numerze naszego pisma chciałem przedstawić rośliny ozdobne, które przy właściwej pielęgnacji będą prawdziwą ozdobą na naszych działkach.

Pierwsza z nich to dynia zwyczajna (*Cucurbita pepo* L.), roślina, która obok form jadalnych posiada także ozdobne. Pochodzi z Ameryki Północnej i jest rośliną jednoroczną. Każdy z nas zna dynię jadalną, bardzo smaczną i zdrową, zwłaszcza nasze babcie potrafią zrobić wspaniałą zupę z dyni.

Ja chciałem zwrócić uwagę na dynie ozdobne. Mamy tu przeróżne formy i kształty: do jajowatych, butelkowatych po dynie w kształcie turbana, kolory od zieleni poprzez żółć, czerwień do głębokiego fioletu. Aby przygotować stanowisko, należy znaleźć miejsce słoneczne, osłonięte i przewiewne; można uprawiać je w pojemnikach na balkonach lub tarasach. dynie ozdobne mają pokrój płóciasty i nadają się do obsadzania altan, pergol czy siatek ogrodu. Najlepsze efekty daje posadzenie w kwietniu do małych doniczek, a potem posadzenie na miejscu docelowym po okresie

ostatnich przymrozków.

W okresie wzrostu należy rośliny odchwaszczać oraz zasilać nawozami płynnymi, a na pewno odwdzięczą się pięknymi owocami, które można przechowywać w domu przez całą zimę.

Drugą z roślin jest, moim zdaniem, najpiękniejsza roślina pnąca – powojnik *Clematis*. Powojniki, nazywane często królami pnączy, to olbrzymia grupa roślin o różnorodnych kwiatach, liściach i różnorodnym pokroju. Nie sposób wymienić nawet małej ich części na naszych łamach. Ich pielęgnacja nie jest trudna, aczkolwiek zróżnicowana ze względu na okres kwitnienia. *Clematis* należy bowiem ciąć i to bardzo mocno. Im później kwitnące, tym wcześniej, gdyż silne cięcie pobudza je do silniejszego kwitnienia. Pnącza mają bardzo delikatne łodygi i nawet lekkie ich uszkodzenie może doprowadzić do obumarcia pędu. Dlatego cięcie zaraz po zimie, rozkrzewia roślinę.

Wszystko zależy jednak od gatunku.

Rośliny sadzimy najlepiej wiosną w dobrze zdrenowaną i próchniczną ziemię z dodatkiem nawozu. Bardzo dobrze jest obsadzić ziemię przy *clematis* niskimi roślinami, zgodnie z zasadą – „nogi w cieniu, głowa w słońcu”. Większość z nich wymaga podpór, najlepiej delikatnych i ażurowych, gdyż czepne są liście rośliny, które owijają się o podpory.

Kwiaty *clematis*ów są przepiękne. To kolory całej tęczy od jednobarwnych po dwubarwne, od drobnych i delikatnych po pełne i duże. Dla każdego coś miłego.

Na koniec coś dla koneserów: ratafia malinowa (przepis klasztorny).

Potrzebne : 4 litry malin, 2 kg cukru, spirytus.

Jak zrobić – cztery litry malin oczyścić i rozgnieść w misie, wrzucić do słoja, aby fermentowały przez dobę, następnie odcedzić i wlać do garnka i na litr malin dodać pół kg cukru, podgrzewać i zagotować, zbierając szumowiny, aż się wyklaruje; do wychłodzonego zupełnie syropu na każdy litr dodać litr spirytusu, dobrze wymieszać, wlać do butli i niech się wyklaruje.

Życzę smacznego, tylko ostrożnie!

Wasz Ogrodniczek

KUKUŁKA

Gdy kukułka kuka w maju, spodziewaj się urodzaju.

Charakterystyczny głos kukułki każdy z nas potrafi rozpoznać, dla nikogo też nie są tajemnicą jej rozrodcze obyczaje. Donośnym kukaniem, najczęściej rano i wieczorem, samiec ogłasza zajęcie jakiegoś terytorium w lesie, którego broni przed pobratymcami. Kukaniem przywabia też samiczki. Panie kukułki prowadzą dość „rozwiązły” tryb życia, ponieważ z reguły jest ich dużo mniej od samców, to mogą pozwolić sobie na wybranie nawet kilku partnerów, swobodnie przemieszczając się po lesie i odwiedzając różne terytoria.

Jak już wspomniałam, kukułki mają dość specyficzny sposób na składanie jaj i wychowywanie potomstwa, a mianowicie- kukułka nie wysiaduje swoich jaj i podrzuca je innym ptakom. Zjawisko to nazywamy pasożytnictwem lęgowym. Trud wychovu własnego potomstwa przerzuca na osobniki innego gatunku. Robi to z premedytacją i w sposób bardzo podstępny. Już w okresie godowym samiczka upatruje sobie odpowiednie gniazdo, najczęściej drobnych ptaków śpiewających. Bacznie obserwuje postępy w jego budowie. Gdy właścicielka gniazda zaczyna składać jaja, kukułka przeprowadza „akcję” podrzucenia swojego jaja, często

w tym niecnym procederze pomaga jej samiec, nadlatuje nad wybrane gniazdo udając drapieżnika. (pomaga mu w tym charakterystyczne upierzenie szare lub rdzawe prążkowanie poprzeczne spodniej części ciała i sylwetka), gdy gospodarze próbują dzielnie bronić swojego gniazda i bohaterstwo przepędzić intruza, samiczka kukułki wyrzuca z gniazda lub zjada jedno jajo i w to miejsce szybko znosi swoje i odlatuje. Trwa to zaledwie kilkadziesiąt sekund i od tego momentu przestaje się już interesować losem swojego potomka. W ten sposób w jednym sezonie lęgowym kukułka może „obdarować” 15-20 gniazd, zostawiając w każdym z nich tylko po

jednym jajem, jeśli w gnieździe znajdują się dwa jaja kukułcze, to znaczy, że złożyły je dwie samice. Pisklę kukułki wylęga się zwykle jako pierwsze dzięki czemu ma przewagę nad pozostałymi pisklętami w danym gnieździe. Jest to mały bezbronny ptaszek, ale tylko na początku, już po 10 pierwszych godzinach jego życia budzi się w nim instynkt mordercy, wyrzuca wszystko z gniazda: inne pisklęta i pozostałe jaja, wie, że musi zostać w gnieździe sam, bo tylko dzięki temu jest w stanie przeżyć. Natura obdarzyła go ogromnym apetytem, pisklę potrzebuje do swojego rozwoju dużych ilości jedzenia. Przybrani rodzice muszą się nieźle napracować przez 5 tygodni (tyle czasu kukułka potrzebuje, aby stać się samodzielną) żeby wykarmić tego głodomora. Aby usprawiedliwić kukułkę za jej zachowanie, przedstawiam czytelnikom ten wesoły wierszyk pod tytułem „Prawda o kukułce”.

Edyta Hryciw

Biuro Rachunkowe Maryla Tarka Giebułtów 145

Rok założenia
1994

Wykonuje usługi w zakresie prowadzenia:

- podatkowej księgi przychodów i rozchodów
- ewidencji zryczałtowanego podatku dochodowego
- ksiąg rachunkowych
- rozliczenia z ZUS
- sporządzanie deklaracji podatkowych
- spraw pracowniczych

Biuro czynne jest od godz. 9.00 do 20.00

Telefon: 75 78 96 184

601 784 523



KUKUŁKA



Kukulka.

*Kos ma syna jedynaka,
czarna wrona dzieci dwoje,
gil już córkę nastolatkę,
słowikowa piskląt troje.*

*Państwo Wróble Ćwilutkowie,
dla nich to nie lada gratka,
powiększają swoje gniazdo
bo ich dzieci jest gromadka.*

*Są maluchy w dziupli sowy
widać dzieci u jaskółki,
wilgi, sroki i sikorek,
nie ma zaś ich u kukulki.*

*Każdy chciałby mieć potomstwo
ona jedna mieć nie może,
trzeba udać się do sowy,
Mądra Sowa jej pomoże.*

*-Nikt pomagać jej nie musi !
Krzyczy Dzieciol Perkusista,
innym jajka swe podrzuca,
sprawa to jest oczywista.*

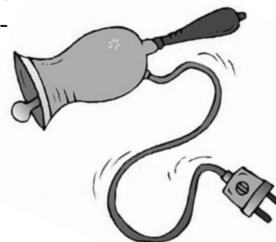
*Sam jej córkę wychowałem,
nie posiadam się z radości
nie mam własnych bowiem dzieci,
ona często u mnie gości.*

*Nie należy więc się martwić,
mówię wszystkim po raz wtóry:
taka właśnie jest kukulka,
nikt nie zmieni jej natury.*

Lili Blue

Kabelek Izerski

Od dłuższego czasu zamarzy prace budowlane na terenie dawnego basenu. Zniknęli pracownicy, majstrowie, nie widać szefostwa firmy. Zamilkły maszyny. Pozostały wykopy, rozpoczęte mury i sporo różnego rodzaju śmiecia. Co się takiego stało? Czyżby firma KAD utopiła się w basenie bez wody dla nieumiejących pływać?



Łaska pańska

Parking naprzeciwko Urzędu Miasta i Gminy Mirsk „wzbogacił” się o nowe znaki poziome. Są to wielkie cyfry od 1 do 7. Wszyscy się domyślają kto stawia samochód na miejscu z numerem 1. Kolejne miejsca: 2,3,4 i dalej...zależą podobno od notowań u szefa. Ten kto stoi bliżej jest wyżej notowany, kto stoi dalej nie jest w łasce. Należy współczuć tym, którzy nie mają żadnego numeru. Ranking, oczywiście poza numerem 1, ma być korygowany co miesiąc. Pilnie obserwujmy...



Ranking na parkingu.

Wiosenne grzybobranie

Kabelek ma dobre wiadomości dla osób, które lubią wypoczywać zbierając grzyby. Mimo anomalii pogodowych, wybuchu wulkanu na Islandii i tęsknoty za słońcem, sezon grzybobrania można uznać za otwarty. W dniu 1-go maja w trakcie spaceru po naszych górach, natrafiono na wspaniały okaz z gatunku Pyloporus. W takim dniu wszystko może się zdarzyć...

Przyrodnicza interakcja

Natura lubi robić nam różne żarty. Można zaobserwować takie dziwne wędrując po naszej okolicy. Wystarczy uzbroić się w czujny wzrok, aparat fotograficzny, cierpliwość i już mamy niezwykle trofeum. Kabelek zachęca do udziału w zabawie fotograficznej, do której zapraszamy wszystkich czytelników i sympatyków naszego czasopisma. Zdjęcia można przysyłać na adres redakcji z informacją czego dotyczy i gdzie zostało zrobione.

fot. Kabelek Izerski



Panorama placu budowy.

fot. Kabelek Izerski



fot. Kabelek Izerski

Współ w zespół żądzć móc wzmóc...



fot. Kabelek Izerski

Wspaniałe trofeum znalezione w Górach Izerskich.

...i wiesz, co jesz[®]

Zakłady
Mięsne

NIEBIESZCZAŃSCY

1990

Zapraszamy
do zakupu wyrobów

ze Starej Spiżarni



www.niebieszczanscy.pl